

JUNAK



CZASOPISMO OCHOTNICZYCH DRUŻYN ROBOCZYCH

Rok I. Katowice, lipiec-sierpień 1934 roku Nr. 6

CHARAKTER JUNAKA

„Idą czasy, których znamieniem jest wyścig pracy, jak dawniej był wyścig żelaza, jak dawniej był wyścig krwi". Oto słowa, które najlepiej określają obecną chwilę, oto najlepsza charakterystyka czasu teraźniejszego. Dużo bowiem, nawet bardzo dużo pozostaje nam jeszcze wyczynów obywatelskich, dużo należy wykonać jeszcze prac, aby Ojczyznę naszą postawić na silnych i trwałych fundamentach. Że zaś konieczności te ogromnych wymagają środków finansowych, których jednakowoż Ojczyzna nasza z powodu silnych wstrząsów gospodarczych całego świata, niestety, dostarczać nie jest w stanie, niejeden plan musiałby runąć, niejedne powzięcie nie doczekałoby się zrealizowania. Wobec takiego stanu rzeczy najgorętszą potrzebą jest pośpieszyć Ojczyźnie naszej z pomocą w postaci ofiarowania naszych zdolności fizycznych.

Takim to właśnie ołtarzem ofiarowania sił fizycznych, takim skarbcem doraźnej pomocy dla wykonywania gorących potrzeb całego społeczeństwa, nazwać moglibyśmy naszą organizację O. D. R. Ależ nietylko tę jedną stronę dodatnią posiada nasza organizacja! Z jej ramienia spływają wielorakie dobrodziejstwa na jej członków. O nich chciałbym powiedzieć parę słów.

Za podstawę naszych rozmyślan biorę hasło, które widnieje na tablicy, umieszczonej w naszej świetlicy:



Mam świadomość, że wykonuję pożyteczną pracę.

„Największym honorem junaka to zdolność pracy dla Ojczyzny". Hasło to powiada, że swej dzielnej pracy, swojego poświęcenia się i swojego na każdem miejscu okazywanego posłuszeństwa, pilny junak nie będzie uważał za ciężar, ani też nie będzie nazywał ponoszonych przez siebie trudów bohaterstwem, a raczej naralnym odruchem uczciwości. Nagrodą zaś za uczciwość jest zawsze czyste sumienie, zadowolenie z samego siebie, ze spełnienia obowiązków. Dlatego też każdy junak, dbający o to, by ten największy honor jego nie doznał szwanku, zawsze i na każdem miejscu będzie starał się o to, by nie dać powodu do powalania swojego honoru i by temsamem organizacja nie ucierpiała na poszanowaniu. Będzie sobie wysoko cenił swoje położenie i dumą napełniała go będzie myśl, że nie jest ciężarem otoczenia, a raczej wartościową jednostką społeczeństwa.

Chcąc bliżej zapoznać się z całokształtem organizacji Ochotniczych Drużyn Roboczych, pamiętać powinniśmy, że życie gromadne nakłada na nas wiele obowiązków i ograniczeń. Jednym z takich obowiązków jest wzajemne ustosunkowanie się. Kwasy i grymasy niezadowolenia wywołują reakcję otoczenia i warzą humory współtowarzyszy. Musimy zatem dostosować się do ogółu, musimy pojmować naszą organizację jako jedną rodzinę, z której winno płynąć ciepło rodzinne, a junak winien

junaka traktować jako brat brata. Powinniśmy wyrugować wszelkie nienawiści jeden do drugiego, a pozostawić jedynie uczucie serdecznej przyjaźni.

Powiniśmy również baczyć na to, że organizacja O. D. R. jest ośrodkiem, w którym nasza wartość moralna podniesie się o niejeden stopień i stanie się godną szacunku. Prawdziwa bowiem wartość człowieka to nie pełna kieszeń. Ten kto sąd wydaje o ludziach na podstawie ich majątku, popełnia wielki błąd.

Więc każdy junak powinien przedewszystkiem poświęcić swoje myśli, postępowanie i chęci organizacji.

Nakoniec zaznaczyćbym chciał, że powinniśmy mieć wciąż przed oczyma tę myśl, że każdy człowiek, który się weźmie do szczerej i uczciwej pracy, który wyszuka sobie jakie zajęcie, które zdoła zająć mu jego wolny czas, dziarsko się będzie trzymał i nie upadnie ani na duchu ani na ciele. W naszej organizacji O. D. R. znajdzie każdy człowiek obok pracy fizycznej, dużo sposobności do rozwoju duchowego.

A że człowiekowi do życia potrzebna jest oświata, jest faktem bezsprzecznym.

Dlatego bardzo byłoby wskazanem, aby każdy junak chętnie i bez przymusu brał udział we wszelkich pracach oświatowych. Boć miejmy nadzieję, że kryzys minie, a kiedy lepsze nastaną czasy, wtedy i nam dostanie się lepsza, popłatniejsza i stalsza praca, albowiem będziemy do niej przygotowani.

Ebert Antoni, ODR. Mysłowice.

Spełnione sny

Ileż to razy stęskniona dusza junaka rwała się do tych nieznanych okolic górskich, do tych dalekich stron, pozostających w ich świadomości niedoścignioną tajemnicą... Jeno w śmiałych marzeniach, prawdziwie junackich, świtała bujna fantazja zetknięcia się z dziwem natury...

W ciężkim trudzie codziennego życia, wśród nieustannego huku i jazgotu potężnych machin fabrycznych, wśród dusznej atmosfery powietrza zatrutego wyziewami kominów, przechodziło życie tych najbardziej pokrzywdzonych ludzi. Może nie jeden raz wnętrzności targane przemożnym głodem, skręcały się w bólu i z jękiem waliły młode, nierozwinięte jeszcze życie. Wtedy świtała w rozpalonym gorączką mózgu myśl straszna, obrzydliwa... mord, mord, mord... Kogo...?

Skończyło się morderstwem własnego życia. Przebiegało ono wtedy w kalejdeskopie najróżnorodniejszych wypadków i, jakże smutnie i tragicznie kończyło się niejednokrotnie.

Nerwy, rozedrgane tętnem tajemnych impulsów i zwodnych miraży, w pogoni za egzystencją, bytem, w kłębowisku mściwości ludzkiej, znajdowały ujście i chwilowe poparcie w ciemnościach „biedaszybów". I tu, jakże często, młode życie kończyło się rozdartą melodją surmu pogrzebowego. Cichły w nich nerwy, cichło życie... Nie trzeba było już walk, ani bezsilnych zmagań z przeciwnym losem. A jeno łzy matki — staruszki, ostatnie łzy towarzyszyły do ciemnej mogiły syna.

...Albo, w szaleńczym porywie, przerażone tragizmem jutra — życie ,rzucało niejedno istnienie na wystawione lufy straży granicznej. Kończyły się marzenia, kończył się ból... Pozostawała znów rozpacz... A może cicha, twarda zgoda najbliższych... A ileż innych jeszcze tragedyj kryje się w tym małym światku wielkomiejskiego życia...?

— — — — — — — —

Ustroń, Wisła... Okolice letniskowe z pięknemi górami... Czyste świeże powietrze. Wszędzie widać uśmiechnięte twarze o beztroskim wyrazie. W pogodną niedzielę tysiące aut przebiega gładkie, asfaltowe drogi tych górskich miejscowości. Wszędzie tu widać tę radość życia, to upajanie się bogactwem natury. Wesołe kolory pól mienią się i drżą w słońcu, a jeno lekki wiatr leniwo muska rozwinięte, świeże kłosy zbóż i kołysze, w takt dalekiej, czarodziejskiej melodji... Góry zaroiły się od wycieczek — wprost oblężone zostały. — Wszędzie słychać śpiew młody, radosny, niesiony zbłąkanym echem po górach... Eleganckie damy, w kwietnych sukienkach, pną się do szczytów... za głosem serca.

Kawiarnie i restauracje przepełnione, a szczególnie gdy zapadnie księżycowy, cichy wieczór... Wszystko się wtedy zlewa w jeden akord. Z krytych werand—kawiarń płynie melodja muzyki. Czaruje swym wdziękiem, podnosi, upaja i budzi wspomnienia dawnych... minionych chwil...

Wśród tych gromad barwnych za dnia, jak rój motyli, przewijają się często w grupach lub pojedyńczo ci, którzy do niedawna czepiali się ostatnich środków do życia, ci, dla których ono nie przedstawiało żadnej wartości, uchodząc za jakiś czarny koszmar, wlokący się jak ciemna mara, za młodem życiem, ci z zadymionych i dusznych miast i wreszcie ci, którzy nie stracili nadziei i wiary w lepsze jutro, lecz śmiało i odważnie kroczyli naprzód w walce o byt, o lepszą dolę — junacy. Jest ich wszędzie pełno. Słychać ich junacki śpiew. Zapełnia góry, doliny i niesie się hen... do chat góralskich, gdzie słuchają hoże dziewczęta z bijącem tajemnie sercem... Przewaliła się czarna karta życia. Wielu z nich poszło po nowym torze życia. Dobry los przygarnął ich. Wielu jeszcze błąka się po pustych bezdrożach życia?... Ale niech i oni przyjdą, a miejsce się znajdzie i dla nich.

H. Stelmach.

Talent przy łopacie

Motto: Talent jest to taki ptak, który się gnieździ, gdzie mu się podoba, raz w dzikiej puszczy, drugi raz w strzyżonym ogrodzie. Sienkiewicz.

Nie znałem go, nic o nim nie wiedziałem.

Mówiono mi tylko, że w Baonie O. D. R. Rybnik jest „malyrz"...

Jakoś mnie nie interesował.

Aż pewnego razu wracałem do koszar późno, nocą już prawie.

Czujny wartownik z hukiem otwiera bramę, zrzucając łańcuch z haka. Rzucam oczyma po oknach kwater, w jednem pali się światło. Wołam służbę, pytam dlaczego pali się światło w pokoju na drugim piętrze.



Budujemy drogę Pawłowice — Skoczów.

— To u „malyrza".

Zaczynam się teraz domyślać przezwiska. Walę po dwa stopnie schodów na drugie piętro, drzwi pokoju siłą pchnięte pozwalają światłu elektrycznemu wpaść strugą na korytarz. Przystanąłem na progu, wzrok ogarnął ogólną typową rupieciarnię malarza-artysty. Na środku pokoju stół z rozmaitemi miseczkami, garnuszkami. W kącie stare pudło kolorowe, pstre od próbek farb, kilka pendzli, starych wyciśniętych z farby tub, kawałki węgla, kilka ram, strzępy płótna i ceraty. Przy oknie plecami do drzwi obrócony, twarzą do sztalug siedział junak z rozwichrzoną czupryną, orlim nosem. Nie zauważył mego głośnego wtargnięcia.

Rozcierał właśnie za grubo nałożoną czerwień na sukni malowanej dziewczyny o niebieskich oczach i włosach złocistych.

— Cóż to malujecie? — pytam, odrywając go od pracy.

— To narzeczona jednego kolegi, panie... — zająknął się.

— Jakże, to z pamięci, z fantazji malujecie cudzą narzeczoną, czy ją bodaj widzieliście. —

— Maluja z fotografije. —

Rzeczywiście, zauważyłem maleńką fotkę dziewczyny, położoną na listwie poprzecznej sztalug.

— Jaki wasz zawód? — pytam.

— Joch jest malyrz pokojowy. —

I bez pytania już rozgadał się na dobre. Dowiedziałem się więc, że po skończeniu 6 klas szkoły powszechnej w Czerwionce, w miejscu swego urodzenia, po śmierci ojca w piętnastym roku życia poszedł na naukę do mistrza malarskiego. Tam był 3 lata, śmierć matki przerwała mu dalszą naukę. Pracował jako robotnik w cegielni, jednak stanęła, wszyscy robotnicy zostali zwolnieni, jego również nie oszczędzono. Wrócił do swego mistrza, ale znów za pół roku z powodu braku pracy musiał się jąć czego innego. Pracował przez dwa lata samodzielnie, dobrze mu się powodziło, nawet za dobrze, bo często wyrzucał z domu próżne flaszki, często palcami brudził i strzępił karty wraz z kolegami. Niszczył w ten sposób zapracowany grosz. — Wreszcie braknąć musiało gotówki, zostało naczynie malarskie, ale i to zniknęło wnet w rękach restauratora, który rzucił za nie ostatnią butelkę wódki. Dopiero teraz otrząsnął się, zmądrzał, odrzucił nawet pomoc zamężnej w Niemczech siostry. Po licznych staraniach dostał się wreszcie do jakiejś mleczarni.

— W jaki sposób dostaliście się do O. D. R.? — pytam, przerywając mu przedłużające się opowiadanie.

— Prawie jak żech był w tej mleczarni, to sie mi tak trefiło. Jada se roz z mlykiem na łonym, nie społech pora nocy, miesiączek świycił mi do oczy. Usnyłech na wozie.

— No i co dalej, — pytam z ciekawością, bo przerwał.

— Usnął — mówił po przerwie —, bo znużony był niewyspaniem, aż tu nagle coś go trzęsie i targa za rękaw, krzycząc mu nad uchem. Przebudzony ujrzał twarz posterunkowego, który pytał o nazwisko, bo nasz bohater zapomniał zapalić światła i jechał po ciemku. Srogi stróż bezpieczeństwa zapisał naszego mleczarza i... za parę dni dostał on wezwanie do zapłacenia kary 5 zł, lub odsiedzenia 1 dnia aresztu. Z nakazem zapłacenia grzywny ruszył do urzędu gminnego i na tablicy ogłoszeniowej zobaczył kartkę tej treści: „Dziesięciu ochotników w wieku od 17 — 21 lat przyjmie Ochotnicza Drużyna Robocza w Rybniku-Paruszowcu". Zapomniał o karze, pytał zaraz o warunki przyjęcia. Objaśniono mu wszystko, spodobało mu się. Z deklaracją przyjęcia przyszedł pieszo do Paruszowca. — Znalazł kwatery O. D. R., zgłosił się w kancelarji baonu i tu po formalnościach przyjęcia załatwionych przez strasznie srogo wyglądającego zastępowego kancelaryjnego, został odesłany do magazynu mundurowego. —

Wyszedł stamtąd i poznać się nie mógł, tak „fasonowo“ wyglądał.

— Naprawdę w ciekawy sposób zostaliście junakiem. No, a teraz powiedźcież mi, jak dawno malujecie, bo nic o tem jeszcze nie wspomnieliście.

— Wlozżech roz do kantyny i widziołech tam, jak tyn harcyrz kantyniorz maluwoł świentom Terezję. —

— To i w kantynie jest artysta!

— Iluż więc jest malarzy w naszym baonie? — Pytam.

— Już łonego nima, poszedł do wojska, ale był i maluwoł. Wtedy mi się to zapodobało i zacząłech tyż próbować.

— A skąd wzięliście farby, pendzle, płótno — pytam.

— Przedołech strzewiki za 6 złotków i kupiłech farby, penzle i konsek płótna.

— I odrazu tak dobrze wam szło, poczuliście, że nietrudno wam idzie malowanie?

— Tyn harcyrz to mi pokazowoł, pomogoł, jo popróbowoł i dobrze mi szło.

— A pierwsze, wasze dzieło, pierwszy obraz — cóż to było?

— Najprzód malowołech głowę synka z kartki, ale potem próbowołech roztomajte łobrozki malować i terazki to już wszystko idzie mi dobrze.

— A czemu zawsze malujecie z obrazków, z fotografji. Czemu nie próbujecie coś malować lub rysować z natury, z modelu?

— Jo teraz byda próbowoł. Wyjnda kiedyś sie na staw i zaczna te drzewa rysować.

— Czemu malujecie i na płótnie i na ceracie, przecież chyba płótno tańsze.

— Ta cerata to jo mom od ciotki z Rybnika. Dostołech od niyj ten stary „lak“ ze stołu.

Zacząłem się rozglądać po całym pokoju. Dużo było gotowych obrazków, potrecików. Wszystko malował zadarmo. Ani grosza mu nikt nie dał.

— Jakie plany macie na przyszłość? — Pytam.

— Na jesień ida do wojska, do kawaleryje, a potem to nie wiem co bydzie, możno sie łożynia.

Ożeni się, ale zanim się ożeni, będzie się obijał po świecie. Może nawet zatraci w sobie talent, zapomni o malarstwie.

———————

Rzucam pytanie: Co zrobić z talentem przy łopacie?!! Co zrobić w podobnych wypadkach znalezienia talentów w innych drużynach?! Musimy przecież talenty ratować!!

Malarz nasz nazywa się Roman Zagoła.

Heski Stefan, ODR. Zabrzeg.

E. IMIELA.

Elwer

(Ciąg dalszy.)

Lokal, jak każdy tego rodzaju, był ponury, jak i napozór gospodarz, który oznaczał się wyjątkową budową ciała, takóż i siłą, która nie parciała, a to z powodu częstego treningu przy wypraszaniu z lokalu zbyt „energicznych gości“. Gospodarz z przyrodzenia był człowiekiem łagodnym, jak przeważnie ludzie, zdający sobie sprawę ze swej siły, więc tylko z konieczności musiał „pośredniczyć“, nie pragnąc, by w jego interes wkraczała policja, gdyż, jak twierdził, jest u siebie sam pierwszym „policjantem“.

Siedział za bufetem, przeglądał szpargały, które dość pokaźną tuszą chełpiły się przed jego czerwoną twarzą, i klął pocichu.

Otrzymał zrana jakiś „list miłosny“ z Urzędu Skarbowego.

Hanys sprowadził Zeflika, mówiąc głośno i dobitnie „mojn“. — Dzień dobry! odrzekł gospodarz, „teraz lipiec, nie moj“, i dalej szperał w papierach.

— Dejcie tam kwaterka ze sokiem.

— A waluta jest?

— Jest, a skąd, to, co to kogo obchodzi. Czy Hanys głupi, by nie korzystać z okazji? Waluta jest i starczy na więcej kwaterek.

Gospodarz dźwignął się, nalał, postawił na stół razem z małym kieliszkiem.

— Większy dejcie — rzekł Hanys, odsuwając zbyt mały kieliszek, to dobre dla dzieci.

Pili z jednego kieliszka, wytrzęsając pozostałe krople na podłogę, czy ze zwyczaju lub ze względów higjenicznych, czy wreszcie na wzór dawnej „oblaty“ ku czci przodkom. Różnie o tem ludzie po wsiach mówią, a trudno prawdy dociec.

Hanys nie zamykał buzi.

Powodzi mu się obecnie znośnie, ma bowiem zajęcie niezbyt męczące, choć „odpowiedzialne“. Nie głupi on, by z głodu zdychać, ot jak ten „gorol“.

W tej chwili właśnie wszedł do lokalu góral, dobroduszny, poczciwy mieszkaniec Karpat, który zimą długą strugał „warzechy“, „firlaczki“, „cedzitka“, „koniki“ i inne góralskie wyroby drzewne, które potem, obchodząc wsie śląskie, sprzedawał.

— Będziesz wiedział, iże go jeszcze zrobiom u nos radcą — dodał z przekąsem Hanys.

Spokojny domokrążca poprosił o szklankę wody, wypił, pochwalił Pana Boga i wyszedł.

Złośliwe jednak słowa nie uszły uwagi gospodarza, który ze względu na swój zawód miał delikatne uszy. Odłożył papiery na bok i pilnie się przysłuchiwał. Nie lubiał Hanysa, gdyż wiedział, że to warchoł, gotowy tylko na burdy karczemne, lecz i gotowy do sprzedaży każdemu „swego przekonania“, o ile kiedykolwiek jakie miał, gdyż był to znany „łazik“ partyjno-narodowy.

Zeflik tymczasem słuchał i bardzo rzadko się odzywał. Nie w smak mu był ustawicznie drwiący ton kolegi, który w dalszym ciągu rozwodził się nad niesprawiedliwością ludzką.

Obiecywali nam złote góry, a gdy przybyli pozajmowali najtłustsze posady, nawet woźnych ze sobą przywieźli, jakby to już Ślązak nawet na woźnego nie był zdolny. Nędza u nich okrutna, nawet suchych kartofli nie mają do gęby włożyć, więc wyciskają naszych, gnębią ich, rozsiadając się na szerokich krzesłach; ze zawiniątkiem, lub workiem przybyli, a teraz mieszkają we wygodnych pokojach i śmieją się z głupich Ślązaków.

Tego już było nieco zadużo gospodarzowi, tembardziej, że zauważył, jak inni goście pilnie Hanysowi się przysłuchiwali i niektórzy nawet dogadują, potwierdzając jego słowa i okraszając już mniej lub więcej „smacznemi“ dowcipami. Ze spokojem, właściwym ludziom pewnym siebie i silnym, schował akta Urzędu Skarbowego do szuflady, podniósł się, wypił sam do siebie kieliszek koniaku, usiadł znów i odezwał się, zwłaszcza gdy usłyszał tu i ówdzie wyzwiska „pierońskie gorole“ „chachary“ itp.

— Wiecie, iżech był nietylko na wojnie, ale i na wszystkich trzech powstaniach śląskich. Inaczej za to patrza na tych, których niekierzy z wos mianują „gorolemi“. Ten gorol, co tu niedowno był, przypomnioł mi bardzo miłe chwile z lat dziecięcych. Było nas w doma siedmioro: czterech synków i trzy dziołchy. Trza to było wszystko przyodziać i wyżywić. Ojciec robił w hucie, a matka w lesie i na podzim chodziła „na pańskie“ na robota. Toż to była łostuda w doma. Starsza siostra, jak mogła, tak o nos starała się, ale czyśmy ją to słuchali? Bijatyka była każdy dzień, a ofiarami padały najczęściej warzecha i inne drewniane narzędzia domowe. Rzadko coś przez dłuższy czas ostało się w całości. A wieczorem, gdy matka przybyła i zabrała się do przyrządzania wieczerzy przed przybyciem z pracy ojca, i ujrzała te szkody, wtedy wszyscy prześcigali się w oskarżaniu jeden drugiego, tak, że tylko Pan Bóg wszechwiedzący potrafił odgadnąć prawda, kto winien i kto pierwszy rozpoczon. Najczęściej winien był ja, jako najstarszy z chłopców. To też poczciwe matczysko, kiedy przy piecu odlewała kartofle, a ja przez karygodną nieostrożność przybliżyłem się do pieca i zbytnią natarczywością rozgniewałem rodzicielkę, poczułem nagle płaskie „cedzitko“ na plecach. Szkody fizycznej z tego nie było, lecz najczęściej szkoda materjalna, bo „cedzitko“ rozłupało się na dwie części.

Szkody przeto w drzewie kuchennem były częste. Ale też dość często zjawiał się wybawca. Był to oto taki sam „gorol“, jak ten, co sam niedowno był.

Przychodzi taki „chuderlok“, a matczysko, bywało, jest w domu, toż zaroski: „Dyć siednijcie sie, choć trocha, napijecie się kawy i zjecie kroma chleba“:

Nie była to gościnność bezinteresowna: „I cóżeście widzieli i słyszeli na świecie?“

A młodzi siadają opodal, ten na stołek, drugi na „ryczka“, najmłodsze wprost na „deliny“, a góral zaś opowiadał i opowiadał, przegryzając chleb posmarowany „tłustem“ i pochlipując kawę. My zaś słuchaliśmy opowiadań, ciekawi, co się dzieje na szerokim świecie, zwłaszcza w górach, których, prócz szarych hałd przy kopalniach i hałdach, nigdyśmy nie widzieli, bo wtedy nie było tej opieki nad dziećmi, jako dziś jest. Wsłuchiwaliśmy się w opowiadania, jak w bajki czytane z pięknej książki. A potem matczysko kupiło świeży towar, a gdy w dobrym humorze było, dokupiwało temu lub owemu jakąś drewnianą zabawkę, zwłaszcza t. zw. „koniki“. — Ot to są „gorole“. Prowda, że biedni ludzie, ale robili uczciwie na chleb i niema im żodnej przygany.

— Ale — wtrącił Hanys.

— Dockej synek — przerwał gospodarz. — Choć ze względu na interes „berami“ lubiał sypać, często jednak ambicja narodowa brała górę. Rozparł się zatem na krześle, a popatrzywszy ostro w oczy młodzika, mówił dalej, wpadając z gniewu w gwarę śląską:

— Ty mi tu, synku, nie „fanzol“, bo cie znomy, wypij i zapłoć, a ludzi nie napastuj.

— A co? — odrzekł drugi.

— Jo ci jeno tela padom. (D. c. n.)



Smacznego!

To bywa tylko w górach

Długo zastanawiałem się nad właściwym tytułem tych górskich bujań... Proszę ostatniego słowa nie brać na serjo. Lubię niekiedy być szczerym..., a właściwie to nie szczerym a skromnym... W każdym razie „bajda“ jest prawdziwa. Od gór i w górach można się wszystkiego spodziewać. — Dobry byłby również tytuł „połów wśród mgły“... chociaż „specjalnie“ tego „połowu“ nie było. — Więc jak.. — „nie wszystko złoto co się świeci“...

Dobre i to. Bo góry były w tym dniu w opłakanym stanie... Mgły, mgły i mgły...

Zachciało się nam, a właściwie to nie nam — bo i skąd? ...ale Komendantowi, by pracę rozpoczynać o godzinie piątej rano. No, jak się wodzowi zachce — to i nam musi się „zachcieć“ ...Nieprawdaż?..

Wymarsz przy szarym świetle mgły.

Po zdobyciu pierwszych stoków górskich znaleźliśmy się w obrębie gęstych mgieł, równomiernie rozpostartych wzdłuż szczytów.

Junactwo w poszukiwaniu dostępniejszych dróg w górę — na teren pracy, — rozlazło się. Wybrałem również samotną ścieżkę pnącą się het — w „podniebną krainę“ czarów leśnych... — Niestety — ona — ta żmija wijąca się między konarami drzew — zgubiła mnie. O, jakże smutno i przykro... Wstrząsnęła mną straszna świadomość, która poderwała moje komórki mózgowe — **zbłądziłem...**

Czas wlókł się powoli. Szedłem z nadzieją niezwłocznego ujrzenia terenu pracy (ciężko uwierzyć! przypisek redaktora). Ale gdzie tam... Dla mnie los nie był nigdy łaskawy... I tu swej hojności nie okazał. Zdobywałem w dalszym ciągu szczyt za szczytem. Coraz nowsze zdawały mi się. we mgle, tereny nieznane i tajemnicze w swej poświacie mgielnej. Kręciłem się wzdłuż — wszerz i różnie, aż przewodniczka moja — ścieżka zniknęła, rozpłynęła się gdzieś w trawie. No tak — zdradziła mnie. Wyprowadziła najzwyczajniej w pole... Na dowód jakgdyby jakiegoś współczucia... otoczył mnie gęstszy opar mgły. Toć już nogą nie mogłem ruszyć...

Brnąłem po rosie, kierując się własnym instynktem... o, jakżesz mylnym! Byłem zupełnie sam jak palce inwalidy... Mgła „dobrotliwa“... pokrywa mnie welonem białej śmierci. Bo naprawdę, cóż mogło być sądzone... O parę kroków nic nie widać. Przedemną zarysował się jeszcze jeden szczyt górski. Po krótkiej walce moich „sarnich“ nóg z potężnym molochem zdobyłem go. — Ale cóż... tu można było, nie taką sobie zwykłą mgłę, ale chmurę rąbać siekierą ..— O losie, losie...

Wyczułem, że był to ostatni szczyt. Więc z brawurą godną husara... rzuciłem się na oślep w mur mgły... Szedłem niestrudzenie, z siłą lwa... Nie zważałem na nic, czy wpadnę w Wisłę (tu na Równicy...), czy stoczę jaką krawą walkę z białym niedźwiedziem... Albo, przyciśnie... mnie chmura i... skończę śmiercią... bohat....

Et — co tu mówić!

Godzina dobiegała mojego tułacznego żywota i balansowania po górach. — To wznosiłem się, to opadałem — niczem balon. Aż nareszcie natknąłem się na naszą naszą drogę. O cudo!... Przebiegała właśnie w poprzek mojej mimowolnej marszruty. Różnego rodzaju paliki, niwelety sterczały na jej powierzchni i świadczyły o przeprowadzonej robocie. Ale czyż mnie to mogło w tej chwili obchodzić?... wtedy kiedy człowiek chciał za wszelką cenę (tylko nie pieniężną) wydostać się z tego labiryntu bezdróg... Po krótkim namyśle wybrałem kierunek na lewo, ponieważ w przeciwną stronę droga prowadziła do schroniska. Ja zaś musiałem dotrzeć do terenu pracy. W każdym razie byłem już lepiej zorjentowany.

— Naprzód brygada... — naraz stop... — Patrzę i oczom nie wierzę... Przetarłem rosiate rzęsy — i cisnąłem „sokoli“... wzrok w wyrosłą skądś plamę na białem tle mgły. Plama przybliżała się, a kształty jej stawały się wyraźniejsze... ki djabeł — czy być może — pomyślałem sobie... Po pewnej chwili zagadka została rozwiązana... Przede mną wyłoniła się dziwo — niedziwo. Z za mgły, z obłoków rozwinęła się powiewna postać młodej kobietki, niemal że dziewczątko jeszcze, o słusznych jak to powiadają, kształtach. (podejrzewam, że autor naumyślnie zbłądził drogę, — przypisek redaktora). Czy mi serce zabiło mocniej...? Nie miałem czasu tego zbadać. Stanąłem przed bóstwem, ale na moment, bo przecież nie wypadało... Mogłoby się przestraszyć i uciec w las... Sam zwątpiłem na chwilę w „cielesność“ tej zjawy... A jednak stwierdzały to nóżki obciągnięte starannie „wesołą“ pończoszką, napewno jedwabną i miłą w dotyku... Rączki wyciągnięte wzdłuż ciała, szczelnie wciśnięte wgłąb kieszonek zgrabnego żakieciku, — no i ten uśmiech, jakim raczyła mnie obdarzyć. To wszystko utwierdzało mnie, że mam jednak do czynienia z ziemską istotą, z czego mimowoli ucieszyłem się. No, czyż mogło być inaczej.

Trzeba było coś przedsięwziąć, zdaje mi się, że w tym momencie stałem się poważnym... i dość obojętnym... To była zła taktyka z mojej strony i spowodowała natychmiastowy oddźwięk z przeciwnej. Inaczej mówiąc, zrobiłem niedyplomatyczne posunięcie. Stało się, trzeba było z innego kotła zacząć. Pomimo,

że buzia jej zaciągnęła się chmurą „powagi“, zaryzykowałem pytanie:

— Czy Pani czasem nie zbłądziła... I koniec... Spojrzała na mnie zgóry i ...cisza... Czyżby i ta „nie gadała z „kadrakami“... pomyślałem sobie... Ale to nie była z tych... Uśmiechnęła się ładnie, bo dyskretnie...

— Dokąd — Pani?

— Do schroniska.

— Tędy?

Spojrzała na mnie z pytającym wyrazem twarzy.

Okazało się, że nie znała drogi do schroniska.

— Schronisko jest tam! — i wskazałem palcem.

— Taam? powtórzyła przeciągle, z jakąż uroczą naiwnością, zakreślając leniwo szeroki łuk, drobną, małą rączką. Musiałem się z tego szczerze roześmiać.

— Ale, powiadam, schronisko nie zajmuje takiej kilometrowej przestrzeni.

— Zrozumiała moje wyjaśnienie i też się roześmiała. Podszedłem do niej bliżej. Spotrzegłem zaraz biały berecik naciśnięty figlarnie na jedno ucho. Z drugiej strony berecika drżał pęk kręconych, gęstych loków. Niedługo sądzone mi było „delektować“ się sympatyczną „zjawą“. Czy zgodzicie się z tem, że to jest koniec wszystkiego?... A jednak — ledwo zdążyłem przypatrzeć się zkolei jej oczom, przesłoniętym lekką mgłą rozmarzenia, widzącym zwykle coś daleko... i ledwo zdążyłem pocałować — wzrokiem czerwone wargi jej ust... i pomyśleć z błyskawiczną szybkością: „trzymajcie mnie, bogi“... gdy wtem wywaliła się, jak kolubryna stoczona z góry — stukilogramowa dama czerwona i zdyszana... Jeno ślady zostawiała połamanych po sobie patyków. Po chwili usłyszałem: — Ala!, Ala! tyś to? —... Widziałem jak się posuwała w naszą stronę, ale nie mogła jeszcze poznać. A Ala nadobna okazała się sprytną dziewczynką. Przystawiła paluszek do buzi, nakazując milczenie. Nie było już żadnej rady... Okazała postać matrony stanęła przed nami... Koniec. Bo cóż tu więcej mogło się stać? Nic ciekawego. Tylko na ostatek, ta mała, o kilka już kroków rzuciła w moją stronę: — Stanisławów... tramtardara — jakieś... numer. Resztę nie zrozumiałem... „Odeszłaś, jakże.... Wtył zwrot, naprzód marsz... Po chwili o kilka kroków przede mną ukazały się sylwetki junaków przy pracy. Dziwnie wyglądali zdaleka oblepieni formalnie mgłą, która wyrównała wgłębienia na ich figurach, czyniąc ich podobnych do słupa jednostajnego. W takt uderzeń kilofa, zginali się, robiąc wrażenie automatów.

Ale nastosowniejszy teraz tytuł do tego „dzieła“ byłby może: „Historja bez końca“...

H. Stel.

Drzazgi jaszowieckie

Rocznica w górach

... Brrr... zimnica trzęsie człowiekiem. Wiaterek z deszczem przeprowadza hygienę... Zmywa i przewietrza zaniedbane kąty... i tak już od tygodnia... A przecież musi przestać, bo w niedzielę wielkie święto w drużynie. Junacy zadzierają do góry głowy, by ujrzeć kawałek niebieskiego okienka na niebie. Gdzie tam...

Cisza... Jeno tajemniczy szelest dochodzi z lasu, kropelki deszczu uderzają o listki — bawią się... Góry, zasnute pajęczyną mgły, stoją majestatycznie niewzruszone...

Dziwne... — pomimo takiego nastroju w naturze, drużyna w pełnym ruchu. Junacy uwijają się jak w ukropie. Słychać głosy jakieś niecodzienne... jakieś ochocze, radosne śpiewy. Zoddali dochodzi śmiertelny, zda się, kwik jednej, potem drugiej świni.

Folwark jaki, czy co?... Przychodzi sobota — również deszczowa. Dopiero cud stał się wieczorem. Wieczorem zapaliły się gwiazdy na niebie. A i księżyc rozwinął żagle i płynie po bezkresnym szlaku gwiazd...

Wieczór sobotni to początek obchodu rocznicy istnienia ODRC 5. Junacy, kto żyw — wdarli się pod sam szczyt Równicy. Tu na nowej drodze stanął potężny stóg drzewa. Stanęli wszyscy wkrąg. Orkiestra znalazła sobie odpowiednie miejsce... — Cisza. Ktoś podchodzi z ogniem do sterty drzew — zapala. Drzewo jest świeże... Ogień po chwili strzela kilkumetrowym słupem wgórę. Na jego tle spostrzegamy małego junaka Kidonia, któremu powierzono, jako najmłodszemu junakowi, lecz najstarszemu w drużynie — zasłużoną misję podłożenia ognia pod stos.

Komendant w krótkich słowach przemówił do junaków. Wspomniał o ohydnem morderstwie na osobie ś. p. Ministra Br. Pierackiego, którego pamięć uczczono dwuminutowem milczeniem. Posmutniały twarze junaków... wiedzieli, że stało się coś strasznego, że Ojczyzna straciła w ś p. Min. Pierackim zasłużonego Syna.

Potężny słup ognia wzbił się z nową energją wgórę, porywając, może niedokończone, myśli. Przewaliła się przez góry melodja legjonowa. „Pierwsza Brygada“ pokrzepiła ducha młodej wiary. A potem hejnał „ma-

rjacki“ uderzył na cztery strony świata. A gdy jeszcze echo nie ucichło, popłynęła z ust modlitwa, silna, ale spokojna do Stwórcy:

„Wszystkie nasze dzienne sprawy“.

Wstał niedzielny ranek. I niebo, na „rozkaz“, przybrało niebieską szatę. Pogoda w całej pełni. Po



Defilada na rynku w Ustroniu.

raz **365** melodja pobudki rannej poderwała junaków na równe nogi. Rozpoczęło się życie w koszarach. Wiele się tu zmieniło. Więcej zieleni. Szpaler drzew stoi przy wejściu do świetlicy. Stoły pokryte białemi obrusami... oczekują gości. Ale największy ruch to w kuchni. Tu skoncentrowało się całe życie... Woń pieczeni mile łechce podniebienie junaków. Kucharze z zakasanemi rękawami koszulek patroszą dwie zabite świnki...

Ruch w kuchni oczywiście większy niż na budowie... Ale najbardziej, co każdego intrygowało i uderzało w kuchni, to miła obecność „mamusi“, jak pozwoliła na siebie mówić, starsza już pani, mamusia naszego technika Polaka. Przyczyniła się w znacznym stopniu do postawienia sztuki kulinarnej na wyższym poziomie. I trzeba przyznać, że spod jej rączek wychodziły bardzo zgrabne, a jak się potem przekonałem, smaczne kotleciki. Zaryzykowałem komplemencikiem...

— Teraz kotleciki to napewno będą smaczne...

— No — nie wiem — odpowiada „mamusia“ z skromnym uśmieszkiem. — A dlaczego? pyta się.

— Bo na jajkach... — odpowiadam.

Musiałem rwać z kopyta, bo „mamusia“ szukała tępego narzędzia... Nie spodziewała się tak bezczelnej odpowiedzi... Ale jakoś się załagodziło.

Junacy w nowych mundurach. Od nich zależała cała glorja uroczystości. Uszeregowali się w prostej linji. Pada komenda. Armja rusza z miejsca. Kierunek kościół ustroński. Z dumą przechodzili w zwartym szeregu pod bramą „triumfalną“ — dzieło rąk własnych. Postawiona tuż przed wejściem do koszar — witała wchodzących gości napisem: „Cześć pracy!“

Drużyna stanęła przed kościołem. Od strony Cieszyna sunie auto... Zgrzytnęły hamulce... Pan starosta cieszyński, J. Plackowski wysiadł z auta w towarzystwie p. Pułkownika 4 p. s. p. Pada komenda: „eś“... na praa... patrz!!-... Technik zastępowy zdaje raport p. Staroście. Po chwili junacy wypełniają kościół. Naród patrzy i dziwuje się. Otwiera szeroko oczy i nie wierzy. Tu i ówdzie słychać przyciszone głosy .. Starosta... Pułkownik — junacy...

Zgrabne mundurki wzruszają płeć piękną... Tem żarliwiej zaczynają się modlić: — a nuż co wymodlą... Po ceremonjach kościelnych rozpoczęła się część druga uroczystości w koszarach.

* * *

...Wyrównać!... Wyrównać!!!... Pokryć tam... Przygotowywanie do raportu. Każdy się pręży, by zrobić dobre wrażenie na gościach. Po raporcie p. Starosta przemówił do junaków. Wskazał na szczytne posłannictwo, jakie mają spełnić junacy wobec ojczyzny. Następnie wspomniał o morderstwie, popełnionem na osobie ś. p. Ministra Pierackiego. Mówił: ... dzień radości, dzień waszego święta... dzień tak jasny... został zasnuty ponurym cieniem mordu... W mocnych słowach potępił niecny czyn morderców, których kara nie minie.

Pamięć ś. p. Ministra Bronisława Pierackiego uczczono dwuminutowem milczeniem. Padła komenda:

— Baczność!... Postacie junaków wyprężyły się; twarze ściągnięte. Ani jeden nerw nie poruszył się...

Ślubowali w tem milczeniu walkę dla szczytnych haseł i idei, jaka przyświecała Ministrowi Pierackiemu i całemu Narodowi Polskiemu.

A potem...



Po wręczeniu pamiątkowych albumów w O. D. R. Jaszowiec

— Nie potrzebujecie — mówił dalej p. Starosta — być zależni od nikogo, potraficie zapracować na siebie. Nie jesteście już ciężarem waszych rodziców, ani opiekunów.

— ... Budujecie Polskę dla siebie — mocną i trwałą . . .

Po przemówieniu p. Starosty zabrał głos p. Inspektor oświatowy Musioł. Nawiązując w pięknych słowach do przemówienia swego przedmówcy, wskazał na różnego rodzaju elementy wrogo usposobione do Państwa i jego poczynań... Wskazał na wysiłki, jakie Państwo podejmuje w celu zapewnienia pracy młodzieży. — Przyszłość należy do was, mówił, ale wy ją musicie wywalczyć kilofem i łopatą. — Po przemówieniach orkiestra zagrała „Pierwszą Brygadę"...

Z szeregu występuje mały junak z albumem w ręce. Stanął na baczność przed p. Starostą, zasulutował... i dziękuje w imieniu drużyny za dotychczasową opieką, przyrzeka, że nadal drużyna pracować będzie dla dobra Polski... i wręczył album p. Staroście. W ten sam sposób wręczył dar p. Insp. Musiołowi. Na twarzach opiekunów odmalowało się szczere wzruszenie. Album ten, muszę dodać, jest małem arcydziełem. Składa się z pięknych zdjęć z życia drużyny. Zdjęcia te, artystycznie wykonane, są dziełem zastępowego technika — Polaka.

Nadchodziła pora obiadowa. Pan Starosta nie mógł dłużej pozostać. Po chwili auto p. Starosty pomknęło powrotną drogą.

Nastąpiła część trzecia imprezy, dla junaków szczególnie ważna: obiad. Pomimo słońca, które niemiłosiernie prażyło, -- goście zaczęli się ściągać. W krótkiej chwili świetlica została zapełniona po brzegi. Jadę aparatem fotograficznym swych ócz... Stop. — O losie bezlitosny! Przy pani doktorowej Śniegoniowej (osóbka o znacznej tuszy)... siedzi syneczek, cokolwiek wystraszony... pan druż. Cieśliński. Jakież dobre zdjęcie do karty prima... aprilisowej... Naprzeciwko dr. Śniegoń z brzuszkiem opartym o stół... Pan inż. Lebda z sympatycznie wyglądającą żoneczką. Nasza mamusia uroczo uśmiechnięta do... kotlecików na stole. Jeden koniec stołu zajmuje dwie płcie piękne i mistrze — kamieniarski i drogowy, a nadodatek jeden... sprawozdawca... Muzyka przygrywa. Talerze brzęczą. Słońce cudownie przypieka poprzez zielone liście drzew. Jest bardzo przyjemnie. Muzyka gra i czas szybko zmyka. Pan dr. Śniegoń ma głos. Dziękuje w imieniu gości za tak miłe przyjęcie... Oklaski się sypią, muzyka rżnie... W odpowiedzi p. Insp. Musioł zabiera głos. Słychać okrzyki na cześć gości. Pan komendant Staniek poderwał się z miejsca i dziękuje gościom... Po uczcie... goście przeszli na miejsce mających się odbyć rozgrywek. -„Wyścig pracy". Stoją trzy taczki. Kto pierwszy naładuje i odwiezie. Stanęli zawodnicy. Strzał! — rwią ziemię. Szybko... Szybko... Zwycięzca st. junak Sieroń. Pierwsza nagroda zegarek kieszonkowy — „Roskop". Warto było kopać. Stoi słup, na wierzchu uczepiona kiełbasa. Kto wejdzie?... Znalazł się i taki spryciarz. Już przynajmniej w ten dzień nie będzie lamencił, że niema „wursztu"... Słońce już zachodzi. Goście się rozchodzą. Orkiestra marszem odprowadza. Gazdowie tutejsi zadowoleni. Muzyka przechodzi do świetlicy.



Orkiestra O. D. R. Jaszowiec.

„Beskid" to raj na ziemi

Chcesz posłuchać szumu drzew,
Wpatrzyć się w ogromne góry,
Chcesz, by cię rozweselił ptaszął śpiew,
Śpiesz do „Beskidu", porzuć spleśniałe mury!

Niema to jak w Beskidzie, zapomina człek o troskach i o biedzie. Nazwa bataljonu „Beskid" powstała prawdopodobnie dlatego, że koszary nasze znajdują się tuż u podnóża gór.

Już z nastaniem dni wiosennych zabrano się gorąco do budowy naszych baraków. Praca szła szybkiem tempem, tak że w dniu pierwszego maja b r. pomieszczenia na 312 ludzi zostały oddane do użytku. Dnia 12 maja dowódca bataljonu p. por. Besz objął koszary. W tym dniu poraz pierwszy zadymiło się w kominie i poraz pierwszy kilku ludzi układło się do spoczynku nocnego.

W pierwszych dniach z dowódcą było nas dziewiętnastu. Dziś rodzinka nasza liczy około 200 ludzi.

Nie jest jeszcze pełny stan, gdyż jeden barak jeszcze pusty. Oczekujemy dnia, kiedy się koszary nasze zapełnią ludźmi chętnymi do pracy. Oby to nastąpiło jaknajprędzej, bo naprawdę warto jest chociaż w porze letniej pracować i spędzać czas w tutejszych okolicach.

Jak się dostałem do „Beskidu"?

Po długich latach mej pracy w śląskich okolicach nawskroś przemysłowych, los rzucił mię na Ziemię Cieszyńską. Wyjechałem z Katowic w stronę Cieszyna. Niedaleko za Katowicami, bo już w okolicach Ligoty,

zanikają potężne kominy i szyby, natomiast ukazują się zboża, łąki kwieciste i bogata zieleń leśna.

Otwieram okno wagonu i wdycham powietrze przesiąknięte żywicą sosen i świerków.



Jeszcze nam tak nigdy nie smakowało jak w O. D. R.

Siedząc tak w zadumaniu przy otwartem oknie, zapomniałem o domu i rodzinie. Łagodny wietrzyk gładził mi czoło, a odurzająca woń majowej zieleni jak narkotyk łagodzi ból i troski. Przyjechałem do Skoczowa. Poczciwy jakiś człeczyna wskazał mi drogę do Kiczyc z wielką uprzejmością, a nawet zaprowadził do narożnej ulicy. Idąc drogą z naładowaną walizą czułem się tak szczęśliwie, jakby w zaczarowanej krainie. 0drazu na wstępie zaimponowały mi uprzejmość i strój ludowy tutejszej ludności.

Wolnym krokiem zawlokłem się do koszar. Tu pod rozłożystym dębem ustawiłem swą walizę, zdjąłem kapelusz i marynarkę, usiadłem na miękkim zielonym kobiercu, by odetchnąć i napoić się pięknem przyrody Ziemi Cieszyńskiej.

Po wypoczynku zgłaszam się w kancelarji, celem objęcia przeznaczonej mi funkcji. Dowódca bataljonu przywitał mię serdecznie, otrzymałem umundurowanie, pościel, chłopcy na poczekaniu zbili łóżko i tak zagospodarowałem się nadobre.

Jak spędziliśmy „Zielone Świątki"?

Po śniadaniu grupka naszych chłopców wybrała się ze mną na spacer, a potem do kościoła. Udaliśmy się do Skoczowa. W samem Skoczowie nie zauważyliśmy nic ciekawego. Na rynku przechadzali się ludziska, szyldy knajp i restauracyj widnieją dość gęsto jak wszędzie, samochody ukazują się na ulicach, wioząc ludzi z różnych okolic, łaknących świeżego powietraz i wypoczynku świątecznego.

Ludność tutejsza, zdaje się, niebardzo uboga, wnioskuję z tych pięknych i drogich strojów ludowych. Nie widzi się opuszczonej i wałęsającej się bezczynnie młodzieży.

Dość spaceru! Idziemy do kościoła. Kościół mały, lecz dość bogaty. Wnętrze kościoła wypełnione pobożną ludnością, stroje przeważnie ludowe. Na chórze grzmią organy pieśń o zesłaniu Ducha św., kościół oświetlony i przystrojony w zieleń majową.

Wnętrze kościoła, lud rozmodlony, pieśń melodyjna i muzyka symfoniczna, wszystko to razem tak na nas podziałało, że niejednemu z nas łzy w oczach stanęły.

Po nabożeństtwie wracamy na obiad do koszar.

Obiad był dość obfity. Na pierwsze zupka wyborowa, kęs kiełbasy i ziemniaczki z pyszną sałatką kapuścianą. Po obiedzie zabieramy koce i w lasy.

Wieczorem zeszliśmy się znowu razem zmachani i wygłodzeni. Kęs suchego chleba smakował nam jak piernik miodowy, a woda jak wino.

Krótko potem gwizdek i zbiórka do modlitwy. Popłynęła pieśń „Wszystkie nasze" hen pod niebiosy.

Tak spędziliśmy „Zielone Świątki" w „Beskidzie". Drugim razem opiszę życie i pracę naszych dzielnych i pracowitych junaków. **M. Chomicki.**

Z życia O. D. R.

Pan Wojewoda Dr. M. Grażyński w harcerskiej O. D. R.

W dniu 25 maja 1934 r. zaszczycił Swą obecnością Naszą Drużynę Pan Wojewoda Dr. Michał Grażyński w towarzystwie Pana Starosty Pszczyńskiego Jarosza i Pana Posła Witczaka. Po odebraniu raportu od D-cy i zaznajomieniu się z rodzajem zajęcia junaków Pan Wojewoda przeszedł przez wszystkie sale, magazyny, kuchnię, poczem w gorących słowach wyraził Swe zadowolenie z powstania Harcerskiej Drużyny Roboczej. Po przedstawieniu celu istnienia tej Drużyny i udzieleniu cennych wskazówek Druhom Junaków opuścił owacyjnie żegnany harcerskiem „Czuwaj" progi zamku w Rudołtowicach.

„Święto Morza" w bataljonie „Beskid".

Cicha i spokojna wieś Kiczyce, poraz pierwszy za czasów niepodległości miała sposobność widzieć i brać udział w uroczystościach „Święta morza".

Dnia 28 lipca br. o 19 trzy drużyny bataljonu „Beskid" wymaszerowały na wzgórze, gdzie sterczał ogromny stos chrustu, przygotowanego na ognisko.

Na wzgórzu rozsadowiliśmy się dookoła stosu i zanuciliśmy pieśń: „Choć burza huczy".

Tuż za laskiem zagrzmiała pieśń: „Święta miłości kochanej ojczyzny". To zbliża się drużyna „C_2" z Ochab, by wziąć wspólnie udział w uroczystościach. Drużyna C_2 sąsiaduje z nami w odległości od nas niespełna 2 km. Po powitaniu drużyny ochabskiej chłopcy nasi jednogłośnie wznieśli okrzyk na cześć Ochab: — Hu — ha, niech żyje O. D. R. C2.

Rozpoczęto program naszej wieczornicy. Trąbki sygnałowe i popisy śpiewacze poszczególnych drużyn zaczęły ściągać okoliczną ludność.

Godz. 8 wieczór. Dwaj trębacze grają baczność, a 4 junaków wychodzi z pochodniami i zapala stos. Buchnął płomień wgórę. Przy dźwiękach trąbek i ognisku zapanował wśród nas jakiś dziwny nastrój; twarze wszystkich uśmiechnięte, a w oczach i sercach zapłonęła miłość do ziemi ojczystej. Ognisko to związało nas wszystkich w jedną gromadę.

Obywatele i junacy! pada okrzyk z ust oświatowego. Dziś w Polsce całej jak długa i szeroka płoną podobne ogniska, dziś Polska cała kieruje wzrok i myśli swoje w stronę morza polskiego.



Lekarz mysłowickich baonów dr. Gadzała ordynuje.

Na zakończenie wzniesiono okrzyk na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, jej Prezydenta i Pierwszego Marszałka Polski J. Piłsudskiego. Po przemówieniu hymn narodowy i wspólna pieśń: „Morowa marynarska wiara“. Dwie i pół godziny przy urozmaiconym programie, na który składały się: przemówienie, śpiewy, deklamacje, muzyka i różne popisy poszczególnych drużyn przeminęły bardzo szybko.

Przy dogasającem ognisku modlitwa i „Rota“ popłynęły do Boga, a echo pieśni lekki wietrzyk niósł daleko po okolicy.

Dobranoc drużyny, dobranoc Obywatele, pada pozdrowienie z ust organizatora uroczystości.

W poważnym nastroju ludność okoliczna rozeszła się do domów a drużyny do koszar. Wieczór ten w pamięci nas wszystkich pozostanie długo. Następnego dnia bataljon nasz z dowódcą p. por. Beszem na czele brał udział w pochodzie do kościoła i nad Wisłę w Skoczowie.

W czasie defilady najlepiej prezentował się nasz bataljon, w dowód czego nagrodzono nas licznemi oklaskami.

Święto morza w O. D. R. C. 6 Wisła-Malinka

W dniu 28 czerwca cała drużyna z Wisły-Malinki, chociaż nieduża, bo zaledwie 50 junaków, wyruszyła wieczorem o godzinie 19 do Wisły na capstrzyk. 30 bm. urządzono na miejscu ognisko Koło gniska zgromadzili się również obywatele Malinki. Ośw. zast. Lazarowicz przedstawił krótko dzieje morza polskiego i oświetlił, jakie znaczenie posiada morze dla Państwa. Potem odśpiewano kilka pieśni, zadeklamowano okolicznościowe wiersze. Własna orkiestra, składająca się ze skrzypiec, mandoliny i harmonji, wystąpiła kilkakrotnie. Na zakończenie wzniesiono okrzyk na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, Pana Prezydenta, Pana Marszałka, zaśpiewano „Nie rzucim ziemi“. Taki był przebieg święta morza w cichej górskiej Malince.

Zabrzeg w Święcie Morza

I Zabrzeg obchodził „Święto morza“. Junacy z karabinami pomaszerowali do kościoła. Licznie zebrana publiczność z zachwytem spoglądała na maszerujące oddziały junaków. Marsz wypadł dobrze. Druga część święta odbyła się w obrębie koszar. Świetlica odpowiednio udekorowana robiła miłe wrażenie. Wieczorem puszczano wianki na wodę, przyczem uczestnikom tej imprezy towarzyszył doskonały humor.

Udział S. O. D. R. M. 1 Ligota w Święcie Morza

Już od paru dni musztrują. Mało kto umiał „kupą“ chodzić. Młodzi — od paru tygodni dopiero służą w drużynie. A przysłuchać się, jak teraz chodzą... — Raz, raz, raz, raz... Przybij!! rum-rum-rum-rum... Stać! Jedno warknięcie tylko wydobyło się z pod okutych butów. Stanęli murem. — W takim ordynku szli uczcić „Święto Morza“. Zebrały się różne organizacje ze sztandarami. Jakiś fotograf z płotu zdejmował junaków ze wszystkich możliwych... stron. Ruszył pochód na czele z orkiestrą. Kierunek kościół. Tu dopiero można było ocenić ten artyzm w marszu... młodego wojska. Ten takt i równe kołysanie się całej bryły sprawiały dobre wrażenie na widzu. Orkiestra dopełniła reszty, grzmiąc jak w jakim triumfalnym marszu... Junakom serca rosły... Walili w ulice butami — wyprężeni jak struny. Ino policzki trzęsły im się... A potem przemówienie i okrzyk na cześć Polski... Zdawało się, że wyrwą z piersi płuca w tym okrzyku:

Niech żyje! Niech żyje!! Niech żyje!!!

Brawo Ligota!

O. D. R. w Jaworzu

Uroczystości związane z obchodem Święta morza urządziła O. D. R. B. 4 w Jaworzu wspólnie z miejscowem społeczeństwem. Rozpoczęły się 28. 6. o godz. 20 pochodem na miejscowe wzgórze. Na górze wygłosił przemówienie nauczyciel p. Wowra, oraz rozpalono ognisko. Po przemówieniu wzniesiono trzykrotne okrzyki: Niech żyje, na cześć Rzeczypospolitej, Pana Prezydenta i Marszałka Polski, poczem junacy odśpiewali rotę „Nie rzucim ziemi“. Resztę czasu poświęcono szeregowi innych pieśni, przyczem i orkiestra strażacka wykonała szereg utworów. Junacy wykazywali wielkie zrozumienie i wyczucie dla doniosłości obchodu, a swoją karnością marszową zyskali sobie wielkie uznanie u miejscowego społeczeństwa.



Przed meczem w Mysłowicach.



Stary zamek Zborowskich w Rudołtowicach rozbrzmiewa pracą i zabawą junaków.

Święto Morza w O. D. R. „Lubliniec"

Dnia 29. 6. 1934 r. odbyło się z okazji „Święta Morza" uroczyste nabożeństwo w kościele parafjalnym w Mysłowicach. Baon wziął w niem udział, wieczorem zaś zebrał się tłumnie tam, gdzie od kilku miesięcy zbiera się, ażeby prostować i pogłębiać łożysko Czarnej Przemszy, w ten sposób przyczyniając się do bliższego kontaktu z naszem polskiem morzem. Właśnie tu wyległa cała ludność miasta i okolicy, ażeby brać udział w puszczeniu tradycyjnych wianków na mętne fale Przemszy. Ludność doznała dziwnego wrażenia, patrząc na tak wielki postęp pracy przy regulacji rzeki, a junacy z dumą spoglądali na publikę, że oni są tymi, których pracą podniesie się w przyszłości stare miasto Mysłowice. Tak piękny wieczór spędzili junacy nad brzegiem Przemszy, przy dźwiękach orkiestr, które naprzemian przygrywały rozbawionej publice. Uroczystość zakończono spaleniem olbrzymiego ogniska, którego promienie, padając na twarze junaków, rozjaśniały ich lica, pozwalając wyczytać z nich, do jakiego stopnia „Święto morza" podniosło ich na duchu.

Na zakończenie wzniesiono okrzyk na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, jej Prezydenta i Pierwszego Marszałka Polski J. Piłsudskiego. Po przemówieniu hymn narodowy i wspólna pieśń: „Morowa marynarska wiara". Dwie i pół godziny przy urozmaiconym programie, na który składały się: przemówienie, śpiewy, deklamacje, muzyka i różne popisy poszczególnych drużyn, przeminęły bardzo szybko.

Świetlica w Ochabach

Życie świetlicowe w tut. drużynie posuwa się w szybkiem tempie naprzód. „Głośna gazetka" ma wiele do gadania. Najlepiej się podoba junakom. Są referenci poszczególnych działów, licytują się w pracy. Szachy, koszykówka, piłka nożna w pełnym ruchu. Znać tu na każdem polu oświatowem szlachetne współzawodnictwo. Częste wycieczki do pobliskiej okolicy dają wiele tematu do dyskusji.

Górą Ochaby wkrótce więcej...
tempo... tempo... tempo...

Sport w O. D. R. Żory.

Dokonało się połączenie dwu baonów O. D. R.: rybnickiego i żorskiego. „Rybniczanie" przymaszerowali do nowych koszar.

Zaczyna się u nas życie sportowe. „Siatkarze" trenują zawzięcie, by spotkać się z tut. „Strzelcem", „koszykarze" ćwiczą w zgranych zespołach.

Turniej ping-pongowy nietylko o zaszczyty, ale o nagrody rozpocznie się niebawem. Lista zawodników według wymagań sędziowskich uwypukli walkę o pierwszeństwo. Uwydatnia się tężyzna przechrzczonych „Rybniczan".

Najstarsza O. D. R. przenosi się do nowych koszar

Będziemy przeniesieni do Żor, będziemy mieli bliżej do pracy. „Ach! to dobrze" — mówili między sobą junacy w ODR. w Rybniku-Paruszowcu. „A pójdziemy do „Minerwy" w Żorach". „A tam ci to dopiero będzie „frajda".

Niecierpliwie czekali dnia przeprowadzki. Aż tu nagle w piątek p. drużynowy mówi przy rozkazie po obiedzie: przygotować wszystko do przeprowadzki. Wszyscy się ucieszyli i uśmiech radości ukazał się na wszystkich twarzach. Wtem ktoś wspomniał, że w niedzielę tu odpust. I jakoś żal się zrobiło opuścić to miejsce dziś.

Ja wiem, nie żal wam odjeżdżać z powodu odpustu, ale żal wam opuścić wasze ukochane — rzekł drużynowy.

Nagle głos syryny odzywa się za bramą, wartownik otwiera bramę, wjeżdża dwutonowy „olbrzym". Zaraz też wzięło się raźno do ładowania martwego i żywego inwentarza drużyny. W mig tak załadowano samochód, że aż resory trzaskały.

„Gotów!" — Groźnie zawarczała maszyna i powoli ruszyła do Żor.

Nazajutrz już o brzasku z warkotem przyjechał ten sam „olbrzym" po resztę dobytku drużyny.

Około godziny 4 popołudniu zebrała się cała drużyna na zbiórkę po raz ostatni na placu koszarowym. Drużynowy Cieśla odbiera raport, poczem po krótkich i prostych słowach p. drużynowego i trzykrotnem „Cześć" pożegnano stare paruszowieckie koszary. Wywołało to wielkie wzruszenie tak u junaków jak i u cywilów, którzy się bardzo przychylnie odnosili do naszej drużyny. Następują ostre słowa komendy i drużyna, wychodząc z koszar śpiewa: „Bywaj zdrowa, moja luba", „Poraz ostatni żegnam cię".

Ludzie wybiegli z domów na ulicę, z żalem żegnając drużynę. Niejednej panience żal się zrobiło, gdy

ujrzała swego chłopca z karabinem dziarsko maszerującego.

Dziarska postawa, opalone twarze wywarły imponujące wrażenie na mieszkańcach Paruszowca.

Po dwugodzinnym uciążliwym marszu ukazał się nad szeroko rozpościerającemi się lasami, komin „Minerwy“, zwiastując bliskość koszar. Przy zachodzącem słońcu nasza junacka wiara wchodzi do nowych koszar, gdzie po zdaniu raportu szybko się rozlokowała na nowem miejscu. Szczególnie junakom przypadło do gustu malownicze położenie koszar, które znajdują się na skraju miasta Żor, pod lasem. Wnet się wiara rozsiadła na dużym dziedzińcu, smacznie zajadając kolację po długim marszu. Jest tu wielu świeżego powietrza i wolnego miejsca, więc można nabyć tężyzny, sił i otuchy do dalszej i wytężonej pracy.

Z Chorzowa do Zarzecza.

Wiadomość, że za trzy dni mamy się przenieść z Chorzowa gdzieś w okolice podgórskie, na głuchą wieś, zaskoczyła nas nieprzygotowanych.

Ten i ów w miarę, jak czas odjazdu się zbliżał, smutniał, stawał się podniecony, szukał ciągle za czemś, pakując skrzętnie swoje manatki. Żal nam było opuszczać Chorzów, gdzie zostawiliśmy swe rodziny, znajomych, a co najważniejsze, nasze Trudki, Gretki.



Krajobraz drużyn pszczyńskich.

W przeddzień wyjazdu mieliśmy już swoje rzeczy w skrzynkach darowanych nam przez p. kpt. Timmla i por. Zawadzkiego. Naazjutrz już o godz. 4 rano panował na naszem piętrze wzmożony ruch, nawoływania, jazgot podkutych butów po kamiennej posadzce, zgrzyt rozkładanych łóżek...

W opustoszałych salach raz tu, raz tam upadające deski wstrząsały powietrze, dostatecznie już nasycone kurzem. Junacy wychodzili z sal to z siennikami, to z obrazami, to z deską, pędząc z nią w dół wśród klekotu okutych butów po kamiennych schodach.

Na placu szeregowano oddawany przez nas wojskowy dobytek, tu równo poskładane ramy od łóżek, tam wypchane sienniki, gdzieindziej miski i miednice pokornie oczekiwały przeglądu. Widocznie rzeczy były porządnie i systematycznie ułożone, bo odbierający nie szczędzili junakom pochwał. Po przeglądzie chłopcy niby pszczoły z ula wysypali się z kuferkami, by złożyć rzeczy na aucie. Auto mocno obładowane ruszyło, unosząc na swej kopule pięciu junaków, którzy zabezpieczali transport. Ciężarówka zginęła z oczu na zakręcie ulicy, by z naszem mieniem minąć miasta, lasy, wsie, miasteczka i na chwilę zatrzymać się w Pszczynie. Junacy popatrzyli, podumali nad książęcą siedzibą, chwilę zastanowili się nad herbami widniejącego na starej bramie wjazdowej.

Tymczasem pozostali w Chorzowie junacy poczęli się niecierpliwić, nudzić, zaglądać do wojskowej kuchni, by czemprędzej — spożywszy obiad, ruszyć w drogę. Jakoż po obiedzie drużyna szykowała się w zbiórce. Druż. Filipowski odczytał rozkaz pułk. Klaczyńskiego, d-cy 75 p. p., w którym dziękuje naszym junakom za należyte wykonywanie powierzonych im prac na terenie koszar. Orkiestra pułkowa zagrała „Pierwszą Brygadę“. Czwórki w prawo zwrot!...

Zgrzytnęły żelazne bramy koszar, zawarczał werbel i popłynęła melodja marsza... Maszerujemy ulicą Wolności. Znów skoczne tony marsza i skręcamy na dworzec w Chorzowie.

Przed dworcem zebrał się spory tłumek, ten i ów pyta.



„Gol“!

— A kajże to piontkorze idom w taki paradzie!

— Wisłę regulować... fater!

Wśród nieznacznych przygód (podobno Froncek Czmiel dostał morskiej choroby) dojechaliśmy do Katowic. W dużej poczekalni dworca podmiejskiego pa-

rę ładnie odśpiewanych piosenek zjednuje nam poklask wśród katowickich podróżnych i sławę niebylejakich śpiewaków.

O godzinie wpół do siódmej wieczorem wymaszerowaliśmy ze stacji Pszczyna do Zarzecza, naszej nowej, słonecznej siedziby. Był późny wieczór, gdy dotarliśmy do Wisły, która swą błękitną wstęgą oddzielała nas od naszych nowych siedzib. Tu nas czekała mała przeszkoda.

Wezbrane fale rzeki uszkodziły kładkę, czterech junaków wpadło w ubraniu do płytkiej wprawdzie, bo tylko półtora metra głębokiej Wisły. Reszta dopiero późnym wieczorem, przeszedłszy jeszcze parę kilometrów do najbliższego mostu, dotarła do koszar, zmęczona wprawdzie, lecz radosna i rozśpiewana.

W godzinę po kolacji na świeżo wysłanych siennikach w przyzwoitych, letnich koszarach spaliśmy smacznie, śniąc czarowne bajkowe miraże szczęścia i miłości.

Pytania i odpowiedzi

4. **Czy Śląsk jest w Polsce i czy stanowi jej część, czy może leży on poza granicami Polski?**

Niejeden uśmiechnie się, przeczytawszy to pytanie, które zmuszony byłem niestety już kilkakrotnie zadać mieszkańcom i mieszkankom Województwa Śląskiego, kiedy w rozmowie z niemi usłyszałem takie zdania: „W Polsce jest dużo taniej, niż u nas na Śląsku“ — albo: „Ja też byłam w Polsce, i znam Kraków, Lwów, Warszawę...“ albo: „W Polsce to inaczej, niż u nas“.

Cóż to ma znaczyć?... To wprost zdumiewające! Przecież tak mówić nie można! Przecież Śląsk stanowi część Polski, tak jak Małopolska, jak Wołyń, jak Wielkopolska, jak Polesie itd. Te ziemie razem wzięte tworzą terytorjum Polski, one właśnie są tą Polską, a mieszkaniec tych ziem, tej Polski jest Polakiem bez względu na to, gdzie będzie mieszkał, w Małopolsce czy na Śląsku, w Krakowie, Wilnie, czy Katowicach, czy gdziekolwiek indziej.

Śląsk to tak samo Polska, jak Pomorze, jak Poznańskie, czy Krakowskie i t. d. To, że poszczególne obszary Rzeczypospolitej posiadają własne nazwy, to wcale rzeczy nie zmienia. Wszędzie tak jest, że zbiorowiska ludzkie na niedużym obszarze, tworzące wieś, lub miasto mają **własną nazwę — zaś większe prowincje także nazywają się inaczej.** Wszystko to razem tworzy Państwo, poddane jednej władzy, jednemu rządowi.

Śląsk to nazwa części Polski, a Ślązak to Polak taki sam, jak Krakowianin, Poznaniak, Małopolanin, Królewiak itp. — bo wszystko to, to tylko nazwy urobione od miast, czy dzielnic zamieszkałych przez Polaków.

Na czem więc polega błąd poprzednio wyrażonych zdań?

Otóż nie można mówić: „W Polsce jest dużo taniej, niż u nas na Śląsku“. Przecież Śląsk to także Polska. Natomiast można się wyrazić: „W głębi Polski...“ albo „W reszcie Polski...“, albo: „W innych województwach Polski jest dużo taniej, niż u nas na Śląsku“.

Również zamiast: „Ja też byłam w Polsce, znam Kraków, Lwów, Warszawę...“ — może Ślązaczka z równą dumą powiedzieć: „Znam nietylko Śląsk, ale i inne dzielnice Polski, bo byłam w Krakowie itd.“

Wreszcie, zamiast mówić: „W Polsce to inaczej niż u nas“ można powiedzieć: „W inych dzielnicach Polski jest inaczej“.

Wszystko to dlatego, bo Śląsk to właśnie owa Polska, o której mówimy, względnie jedna z jej dzielnic — a Ślązak, to Polak! **W. d. Laveaux.**

Tatuowanie!

Z miłą chęcią umieszczamy niniejszy artykuł, tem bardziej, że wyszedł z pod pióra jednego z junaków. Mamy wrażenie, że przyczyni się do wyparcia z O. D. R. tego obrzydliwego zwyczaju, jaki autor piętnuje. **Redakcja.**

Istnieją w różnych częściach globu naszego najrozmaitsze obrzędy i zwyczaje. Do takich zwyczajów zaliczyć trzeba także tatuowanie skóry, które znane jest już od dawna, w szczególności zaś zwyczaj ten zachował się do obecnej doby u szczepów półdzikich, zamieszkujących Afrykę, niektóre archipelagi, przedewszystkiem wyspę Jawę, Sumatrę, Nową Zelandję i u plemion półdzikich Indjan, będących już prawie na wymarciu. Także i ludy zamieszkujące Azję zwyczaj ten znają, na co daje nam przykład Sienkiewicz w powieści „Pan Wołodyjowski“, opisując fragment z dzikim Asią, rzekomym synem chana tatarskiego, który nosił wytatuowaną na piersiach siną rybę, jako znak rozpoznawczy.

A zatem, kochani Junacy, jak widzimy z powyższego, zwyczaj tatuowania jest cechą tych plemion, które stoją na najniższym szczeblu cywilizacji. Ciekawa rzecz, że od pewnego czasu dał się zauważyć ruch tatuomanji i to nie u Berberów, czy szczepu Bantu, czy nawet Tatarów, ale w Europie i to w Polsce, a najgorsze, że w O. D. R. Widocznie zjawił się jakiś kacyk w postaci junaka z zeszpeconą skórą najrozmaitszemi obrazami, czasem tak drastycznemi, że człek mimo-

woli odwraca oczy i pomyśli sobie: „to ci warjat kiepskiego gatunku“ i pociągnął za sobą rzesze naiwnych. Ci zaś na wyścigi zaczęli poprawiać naturę i „ozdabiać“ się różnemi wizerunkami i to tak nieudolnemi, że szkoda tej fabry. Prócz symboli marynarzy (kotwica), zobaczysz tam, Junaku, gorących sympatyków herszta Klimczoka, którego rzekomy wizerunek odbity z „Siedmiu Groszy“ widnieje na ramionach niektórych junaków. Spotkałem również pewien fragment z „mąk Tantala“, wytatuowany na ręce, lecz zapewne posiadacz nie rozumie treści danego obrazu. Prócz różnych nieudolnych kwiatów i postaci, nie brak również i malowideł ordynarnych, które najwymowniej świadczą o charakterze danego osobnika. I przypomina się człowiekowi powiedzonko: „Świnka tylko w błocie się tarza“.

Junacy! w imię Waszego zaszczytnego celu i honoru apeluję do Was, jako również junak, nie dajcie sobie oszpecać Waszych ramion, boć nie poto zostały stworzone. Zbałamucili Cię raz, nie daj się drugi raz nakłonić i pamiętaj, że raz obraz wytatuowany na ciele, zostanie na zawsze.

„Nikt“ z ODR. C. 3.

Bracia Adamowicze — zdobywcami Atlantyku!

Imię Polski nową okryło się chwałą, bo oto dwaj Polacy, bracia Józef i Benjamin Adamowicze dokonali na samolocie przelotu ponad Atlantykiem, kierując się ze Stanów Zjednoczonych do Polski.

Lot swój rozpoczęli z Nowego Jorku dnia 28. czerwca i skierowali się ku Nowej Funlandji, poczem samolot Adamowiczów obrał kierunek ponad niezmierzonemi wodami Oceanu Atlantyckiego, dążąc ku sercu Europy — ku Polsce.

Przestrzeń do przebycia oceanu wynosi od Nowego Jorku do Hambour Grace na Nowej Funlandji 1.800 klm., zaś od Nowej Funlandji do najbliższych brzegów Europy, a więc do brzegów Irlandji 3.400 klm. Te 3.400 klm. lotu wyłącznie ponad oceanem stanowią niezwykłe, pełne grozy niebezpieczeństwo. Na tej bowiem trasie pojawiają się ogromnie często niezwykle gęste mgły północne. W takiej mgle można kierować się tylko przy pomocy busoli i utrzymywać samolot w równowadze przy pomocy szeregu przyrządów. Ale to nie jest jedyne niebezpieczeństwo. Gdy napłynie fala zimnej mgły od północy, wówczas na skrzydłach samolotu tworzy się gruba warstwa lodu. Zwiększa to ciężar samolotu i możliwość katastrofy.

Samolot braci Adamowiczów rozwija przeciętnie szybkość 180 klm. na godzinę, zapasy paliwa wystarczają na przeszło 30 godzin.

Lot rozpoczął się w dobrych warunkach, pogoda sprzyjała. Rychło jednak po opuszczeniu kontynentu amerykańskiego nadciągnęła mgła i gęstą bielą zasnuła cały horyzont. Lotnicy musieli teraz zmagać się z nowemi trudnościami. Dążąc wytrwale do swojego celu, przygotowani byli, że każdej chwili może nastąpić katastrofa i śmierć w spienionych falach Atlantyku!

A podobnych przykładów jest wiele, — Atlantyk kryje w swych odmętach niejeden samolot, jak niejedno serce przepełnione szlachetną dumą i odwagą.

Lot Adamowiczów jednak mimo wszystko powiódł się. Mgła zmusiła ich jedynie do zmiany trasy i do wylądowania na północno-zachodniem wybrzeżu Francji w dniu 30. czerwca br.

Atlantyk został zdobyty przez dwu zwycięskich Polaków! Na lotnisku w Le Bourget pod Paryżem, dokąd nazajutrz Adamowicze przylecieli, zgotowano lotnikom polskim niezwykłą owację. Powitał ich ambasador Chłapowski imieniem rządu polskiego, następnie gen. Houdemont imieniem francuskiego lotnictwa, i t. p., oraz publiczność polska i francuska.

Niedługo zabawili Adamowicze na francuskiej ziemi. Pilno im było do Polski! To też samolot ich, noszący miano „Miasto Warszawa“, wzniósł się szybko wgórę.

Lot dzielnych Polaków jeszcze dwukrotnie został przerwany wskutek niezwykle trudnych warunków atmosferycznych, raz w Brandenburgji, drugi raz opodal Torunia. Ostatecznie jednak wylądowali szczęśliwie na lotnisku warszawskiem po południu dnia 2-go lipca.

Przyjęcie, powitanie i entuzjazm ludności Warszawy są nie do opisania.

Na lotnisku Warszawy powitali zwycięzców Atlantyku przedstawiciele Rządu Polskiego, przedstawiciele lotnictwa, miasta Warszawy i t. d., oraz tysiączne rzesze rozentuzjazmowanej ludności. Nie było końca okrzykom „Niech żyją“. Bracia Adamowicze wsiedli do samochodu udekorowanego chorągiewkami o barwach narodowych Polski i Stanów Zjednoczonych, oraz różami, poprzedzanego przez samochód prezydenta miasta, i odbyli triumfalny przejazd przez ulice Warszawy. Ludność, która zaległa ulice i place, która wypełniła okna, balkony, rzucała zewsząd całe pęki kwiatów na samochód Zdobywców Oceanu!

W. De. L.

Kronika ostatnich tygodni

Wiadomości z kraju.

Nowi ministrowie. Śmierć min. Pierackiego spowodowała pewne zmiany w Rządzie. Ministrem Spraw Wewnętrznych został mianowany p. Marjan Zyndram-Kościałkowski, dotychczasowy prezydent miasta stoł. Warszawy, zaś w miejsce min. Klukowskiego, który podał się do dymisji, został mianowany Ministrem Rolnictwa p. Juljan Poniatowski, dotychczasowy kurator Liceum Krzemienieckiego w Krzemieńcu.

Miejsca odosobnienia, czyli t. zw. obozy izolacyjne, albo koncentracyjne zostały ustanowione rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej. Celem wprowadzenia obozów izolacyjnych jest uchronienie społeczeństwa od akcji niepoczytalnych osobników. O umieszczeniu w miejscu odosobnienia osoby zagrażającej bezpieczeństwu i spokojowi publicznemu orzekał będzie sędzia śledczy na wniosek władzy administracyjnej. Odosobnienie trwa zasadniczo trzy miesiące. Obóz izolacyjny znajduje się w Berezie Kartuskiej na Polesiu.

Niemiecki minister w Warszawie. W czerwcu przybył do Warszawy Dr. Goebbels, niemiecki minister propagandy, i wygłosił odczyt „Cele ideologji narodowo-socjalistycznej". Wizyta Goebbelsa nie miała charakteru urzędowego, niemniej jednak należy ją uważać jako wyraz dobrych stosunków sąsiedzkich między Polską a Niemcami. Pokazuje się, że taki wzajemny stosunek obu państw do siebie jest możliwy i że Niemcy potrafiły po szeregu lat dojść do przekonania, że niezgoda z Polską do niczego nie prowadzi.

Wiadomości z zagranicy.

Rewolucja w Niemczech. Dzień 30 czerwca i następne były widownią krwawych walk na terenie Niemiec, zapoczątkowanych przez spisek uknuty w łonie partji narodowo-socjalistycznej i oddziałów szturmowych. Akcję tłumienia buntu rozpoczął sam kanclerz Hitler, udając się samolotem do Monachjum, gdzie wyddał rozkaz aresztowania szeregu spiskowców. Na terenie Prus taką samą akcję przeprowadził premjer pruski Goering, aresztując lub rozstrzeliwując wielu szturmowców.

Wśród zabitych znajdują się: Były kanclerz Niemiec gen. Schleicher, przywódca szturmówek Roehm, przyjaciel Hitlera, z rozkazu jego rozstrzelony, pozatem cały szereg ludzi, więcej lub mniej podejrzanych. Zagrożonym był też wice-kanclerz Papen, lecz jakoś szczęśliwie uszedł śmierci. Wielu członków partji hitlerowskiej, oraz oddziałów szturmowych zbiegło zagranicę. Zabici liczą się na setki.

Emigranci polscy we Francji. Z Francji nadchodzą alarmujące wieści o sytuacji robotników polskich, których raz po raz spotyka redukcja i wydalenie z granic Francji. Robotnicy, którzy swą wieloletnią pracą ugruntowali sobie jaki taki byt na obczyźnie, zmuszani są obecnie do powrotu do kraju. W Polsce nie mogą również znaleźć pracy. Wszelkie starania do powstrzymania wydalań z Francji nie doprowadziły do pomyślnych rezultatów. Ostrzegamy więc pragnących emigrować do Francji, by zrezygnowali chwilowo z swych zamiarów i aby nie wierzyli obietnicom kontraktów, gdyż po paru miesiącach pracy może spotkać taki sam los też i nowozakontraktowanych.

B. premjer Prystor w stolicy Litwy. Bytność tak wybitnego polityka polskiego, który w celach prywatnych udał się do Kowna, wywołała powszechną sensację. Nikt nie chce w to wierzyć, aby wizyta Prystora była tylko prywatną. Społeczeństwo podejrzewa to, co chciałoby w najbliższej przyszłości zobaczyć, t. j. nawiązanie stosunków przyjaznych z sąsiednią Litwą. Nic w tem dziwnego. Sympatja Polski dla Litwy jest bardzo duża, ugruntowana sześćsetletniem współżyciem obu narodów w dobrej i złej doli. Każdy Polak widziałby chętnie w Litwinie swojego brata, — tak jak za czasów Jagiełły, kiedy to łączyły oba narody wspólne potrzeby i cele. Dziś Litwa jakby zapomniała o swej świetnej przeszłości, którą zawdzięczała Polsce. To też w związku z tem należy niedawną bytność na Litwie prem. Prystora oceniać jako serdeczny gest bratniego narodu, który stojąc wyżej kulturą, podaje pierwszy niesfornej Litwie rękę do zgody.

Walka o 40-godzinny tydzień pracy. Zgromadzona w Genewie Międzynarodowa Konferencja Pracy wzięła pod obrady kwestję skrócenia czasu pracy przy równoczesnem zachowaniu tych samych płac jako jeden ze środków zwalczania bezrobocia. Odbyto szereg posiedzeń od stycznia 1933 roku, na których projekt spotyka się z silną opozycją delegacji angielskiej. Zaznaczyć należy, że doceniając znaczenie skrócenia czasu pracy dla klasy robotniczej, Rząd Polski należy do tych, które projekt skrócenia popierają.

W. de Laveaux.

Cena pojedynczego numeru „Junaka" 20 gr, dla członków O. D. R. 10 gr.
W sprawie ogłoszeń należy zwracać się do Administracji.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Gmach Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego, III p. pokój 671
Konto w P. K. O. Katowice 304.819.

Wydawca: Wojewódzki Komitet Lokalny Funduszu Pracy. Kierownik redakcji i redaktor odpowiedzialny: Paweł Musioł.

Druk: Drukarnia Śląska, Sp. z ogr. odp., Katowice, ul. Batorego 2 i Kościuszki 15. — Telefon 308 78 i 304 26.